Nr. 21. Kraków, Czwartek 26 Maja 1898. Rocznik VII.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sławkowska l. 30, I piętro.

Wszelkie listy i przesyłki pieniężne adresować należy do Redakcyi lub Administracyi, **ul. Sławkowska l. 30.**

Rękopisów nie zwraca się. Korespondencyj anonimowych nie uwzględnia się. Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

NAPRZÓD

Numer pojedynczy 7 centów.

Do nabycia w Krakowie w Agencyi dzienników Pl. Maryacki l. 2, we Lwowie w Biurze dzienników L. Plohna, ul. Karola Ludwika, i A. Olszewskiego, ulica Kilińskiego l. 2, w Tarnowie w biurze p. M. Rokacha.

Listy reklamacyjne nieopieczętowane nie podlegają opłacie pocztowej.

Czasopismo polityczne i społeczne. — Organ partyi socyalno-demokratycznej.

Prenumerata wynosi: W Krakowie: (bez odsyłki) rocznie 3·—, półrocznie 1·50, kwartalnie —·75, miesięcznie —·25. W Austryi: rocznie 3·60, półrocznie 1·80, kwartalnie —·90, miesięcznie —·30. W Niemczech: rocznie 7 marek. We Francyi: rocznie 10 franków.

Wychodzi co tydzień w czwartek.

Ogłoszenia (inseraty) przyjmuje Administracya za opłatą od miejsca wiersza drobnem pismem (petit) 10 ct. — **Nadesłane** po 25 ct. od wiersza. Należytość uprasza się naprzód nadesłać przekazem pocztowym pod adresem Administracyi czasopisma.

PRZEGLĄD.

Rada państwa została zwołana na dzień 1 czerwca. Na porządku dziennym jest dalszy ciąg dyskusyi nad sprawą językową. Po tej nudnej dyskusyi, w której nieskończony szereg mowców będzie przeżuwał tyle razy już głoszone rzeczy, w której nie może się już wyłonić ani jedna nowa myśl, — nie można się spodziewać pomyślnego rezultatu. Żadne z kłócących się stronnictw nie życzy sobie w gruncie rzeczy komisyi językowej, którą w swoim czasie sławiono jako jedyne wyjście z zabagnionej sytuacyi. Gdyby im szło istotnie o zakończenie sporu, to postarałyby się o jaknajrychlejsze utworzenie tej komisyi językowej. Ale parlament austryacki jest niezdolny do załatwienia tej tak ważnej kwestyi. Nie jest to parlament, ale zlepek stronnictw zwalczających się nawzajem, nie połączonych żadną spójnią. W państwie takiem jak Austrya, gdzie 8 narodowości żyje obok siebie, parlament potrzebuje takiej spójni bardziej niż w każdem innem państwie, aby stanowić mógł jednolitą całość. Dzisiejsza Rada państwa, oparta na kuryach wyborczych, jest rozbitą maszyną, która już z miejsca nie ruszy.

Bezpłodne debaty nad załatwieniem kwestyi językowej, z którem ani młodoczechom, ani niemieckim stronnictwom burżuazyjnym wcale się nie spieszy, zajmą kosztowny czas Izby poselskiej, a tymczasem już blisko rok upływa, jak rząd gospodaruje naszymi pieniądzmi bez pozwolenia parlamentu, zapomocą rozporządzeń na podstawie § 14. Dnia 5 lipca 1897 wydał rząd pierwsze z tych rozporządzeń, a mimo iż ustawa zasadnicza wyraźnie powiada, że parlament powinien w przeciągu czterech tygodni po otwarciu dać mu konstytucyjne zatwierdzenie, dotąd jeszcze parlament nie traktował tej sprawy. To pierwsze rozporządzenie dotyczyło przedłużenia ustawy cukrowej na rok, tj. do 31 lipca b. r. Ustawa ta była więc prawie przez ten cały czas w mocy, chociaż parlament nie oświadczył, czy się na nią zgadza. Gdyby teraz jej nie zatwierdził, byłaby to musztarda po obiedzie. Parlament nasz został więc istotnie pozbawiony prawa nadawania ustaw, zastrzeżonego mu konstytucyą. A nadto teraz może dojść do tego, że „ustawa“ ta (o podwyższeniu podatku od cukru i o premiach dla fabrykantów cukru) zostanie ponownem rozporządzeniem znowu na rok przedłużona! Czyż nie jest to nagi absolutyzm? Takich rozporządzeń wydał dotychczas rząd aż dziesięć, a żadne z nich nie jest jeszcze zatwierdzone przez parlament. Od czasu rozwiązania starego parlamentu ustawodawstwo polega na rozporządzeniach rządu. Hr. Thun okazał się taksamo jak jego poprzednicy do rządów konstytucyjnych. Teraz jeździ on ciągle wraz z drem Kaizlem do Budapesztu i stara się wszelkiemi siłami o pozyskanie Węgrów dla ponownego prowizorycznego przedłużenia ugody. Znaczy to, że będziemy musieli płacić Węgrom haracz, jaki podyktują, aby tylko pozwoliły na absolutystyczne rządy w Austryi. Tych smutnych stosunków przyczyna tkwi w niemocy naszego parlamentu, który potrzebnje gruntownej reformy.

Doszło do tego, że w Austryi celem wydania ustawy odracza się parlament. Zazwyczaj, aby stworzyć ustawę, zwoływało się Radę państwa. Teraz rząd oparł całą konstytucyę na paragrafie 14. Aby na podstawie tego paragrafu mógł wydawać rozporządzenia — zostanie Rada państwa odroczona przed dniem 1 lipca. W ten sposób załatwi sobie rząd prowizoryum budżetowe do końca roku. W Austryi panuje absolutyzm.

Kogo bronią stojałowszczycy? Za przykładem wiedeńskich antysemitów przyłożyli i stojałowszczycy ręki do uniemożliwienia zawieszenia ceł zbożowych. Socyalni demokraci postawili ten wniosek w interesie ubogiej ludności pracującej, której drożyzna daje się we znaki. Jasną jest rzeczą, że gdyby zniesiono cło od przywozu zboża, które wynosi 1 zlr. 50 ct. od 100 kilogramów, to zagraniczni producenci zboża sprzedawaliby je w Austryi o 1 złr. 50 ct. taniej niż dotąd, aby skutecznie konkurować z krajowymi sprzedawcami. Ta konkurencya zmusiłaby i austryackich handlarzy zboża do zniżenia ceny o 1 złr. 50 ct. W ten sposób staniałby nam nieco chleb. Mimo że sprawa mówi sama za siebie, ma Stojałowski czoło spotwarzać socyalnych demokratów, że bronili tu nie interesów ludu, lecz interesów giełdziarzy. Jak to jest możliwe? zapyta każdy zdrowo myślący człowiek. Na to odpowiada Stojałowski w „Pszczółce“, że kapitaliści spekulujący na giełdzie zbożowej wywołują drożyznę i że oni tylko zyskaliby na zniesieniu cła, a zboże wcaleby nie staniało. Tu kończy się już wszelki zdrowy sens! Gdy tylko socyaliści zgłosili w parlamencie niemieckim interpelacyę w sprawie zniesienia ceł zbożowych, zaraz na giełdzie berlińskiej spadły ceny zboża, gdy zaś rząd dał odmowną odpowiedź, ceny nanowo poszły w górę. Może sobie Stojałowski wraz z antysemitami krzyczeć, że należy wywieszać żydowskich giełdziarzy, i kiwać im palcem w bucie, a oni tymczasem śmieją się z tego, robią doskonałe interesy i obdzierają dalej lud. Zniesienie ceł zbożowych — oto broń na spekulantów, a nie puste krzykactwo, obliczone na jaknajgrubszą ciemnotę czytelników, a oddające bardzo dobrą przysługę giełdziarzom.

Wybory galicyjskie. Zmieniają się ministerstwa, mamy nowego namiestnika, ale gwałty i szwindle wyborcze w Galicyi trwają niezmiennie. Dnia 23 bm. odbyły się wybory uzupełniające z kuryi miejskiej okręgu Buczacz-Czortków. Kandydat rządowy, baron Błażowski zwyciężył opozycyjnego kandydata ruskiego prof. Romańczuka. W jaki sposób uzyskał większość p. Błażowski, można się przekonać z korespondencyi pewnego wyborcy z Wierzbowca pod Budzanowem zamieszczonej w „Kuryerze Lwowskim“. Przytacza on tam następujące fakty: Komisarz starostwa z Trembowli odbył w Wierzbowcu prawybory dnia 12 bm. o godzinie 7 rano — bez głosowania; zwołał wojta, podwójciego, dwóch radnych i dwóch pisarzów i tych sześciu wybrało czterech wyborców; we wsi nikt nie wiedział, że odbywają się prawybory, bo plakatami zostały zapowiedziane na godz. 9. W memoryale komitetu ruskiego do namiestnika hr. Pinińskiego wymienione są następujące fakty: W gminie Folwarki wpuszczał komisarz Horodyski prawyborców do lokalu pojedynczo, a kto nie chciał głosować po jego myśli, tego wyrzucał, nie dając mu głosować; podobnie postąpił w Słobódce Górnej i Berezówce. W ten sposób został baron Błażowski posłem „z woli ludu“.

Wybory ściślejsze we Francyi nie przyniosły zbyt wielkich zmian w ugrupowaniu stronnictw. Tylko socyaliści według zgodnych potwierdzeń nawet burżuazyjnych pism odnieśli rzeczywiste zwycięstwo. Liczba głosów socyalistycznych wzrosła z 665.038 w roku 1893 obecnie do 940.680. Wprawdzie trzej najdzielniejsi nasi towarzysze, znakomici mowcy i publicyści: Jaurès, Guesde i Gérault-Richart zostali przez koalicyę stronnictw burżuazyjnych i przez potężnych królów fabrycznych odnośnych okręgów pobici; jest to bolesną stratą tak dla francuskich socyalistów jak i dla całego proletaryatu; ale większe niezaprzeczenie ma znaczenie liczba oddanych głosów, a ów wzrost kolosalny głosów socyalistycznych jest najlepszym dowodem potęgi naszej idei. Nie pomógł szowizm i antysemityzm propagowany przez klerykałów, monarchistów i antysemitów, nie pomogły wszelkie manifestacye drobnomieszczan na cześć generałów przed i podczas procesu Zoli; partya generałów i koalicya munduru z sutanną nietylko, jak się obawiano nie wzrosła w siłę, ale owszem poniosła znaczne straty. Zresztą dziwnym trafem nietylko socyaliści ale i inne

---

MEDAL.

Nowelka z francuskiego.

I.

Bez zapału przyjął młody wicehrabia Labrit zlecenie pana Lambert, podsekretarza w ministerstwie handlu, który wysyłał go przed niedalekimi wyborami w poufnej misyi do departamentu I... określając mu jego pracę w tych słowach:

— „Wiesz, mój drogi Labrit, że marszałek ma wkrótce udać się do I..., okręg ten bowiem jest wątpliwy... Są wprawdzie gminy wyśmienite, któreby wysłały do parlamentu nawet tragarza, gdyby był kandydatem rządowym.. Ale są także gminy inne, bardzo złe, mianowicie gniazda robotników, stoczone przez socyalizm... Podróż prezydenta ma na celu zmienić to wszystko. Nie będzie się przytem oszczędzać ani medalów, ani nawet krzeseł w akademii. Ministerstwo, jak wiesz, utworzyło właśnie specyalne medale dla robotników i dla sług zasłużonych w ogólności. Spodziewamy się, a nawet jesteśmy tego pewni, że to podziała na ludność. Jeden medal odpowiednio użyty może nam dać sto głosów. Kazałem sobie w tym celu przedstawić kandydatów przez kierowników głównych fabryk okolicy i przez wójtów, bez różnicy stronnictwa. Rozchodzi się teraz o ostateczny wybór kandydatów do medali z pomiędzy wiernych konserwatystów albo wahających się radykałów... Powierzam ci to delikatne zadanie. Oto są akta sprawy. Udaj się na miejsce; nawiąż stosunki z wójtami, z fabrykantami i naczelnikami komitetów: masz całkowite pełnomocnictwo rozdziału naszych medali.“

Pan Lambert wymagał biernego posłuszeństwa; wicehrabia nie robił więc żadnych zarzutów i zabrawszy plik aktów, wsiadł w pierwszy pociąg jadący do departamentu I...

Pierwsze dni swej misyi spędzał dość przyjemnie na paleniu dobrych cygar fabrykantów, nie trudząc się osobiście robotą, którą za niego władze wykonywały w duchu, jaki wiał z góry. Wieczorami jednak młody szef biura ministeryalnego nudził się trochę w swym numerze w hotelu „pod łabędziem“, gdzie po jakim takim obiedzie skonstatował już trzeciego dnia z goryczą, że dopiero dziesiąta. „Co tu robić w tej dziurze? myślał. Położyć się? Nie mógłbym spać... Pracować? Ah! pracować w pokoju hotelowym, przy kiepskiej świecy na chwiejącym się stoliku... Gdybym tak poszedł rozejrzeć się w moich aktach do kawiarni? Przypuszczam przecież, że musi tu być jakaś porządna kawiarnia w Issoudun“.

Zaczął się dopytywać. Wskazano mu kawiarnię angielską, miejsce zborne świata urzędniczego. Udał się tam, zabierając w tece sławne akta. Jacyś urzędnicy grali w karty i w domino po kątach. Labrit zażądał wina i przyborów do pisania.

Nigdy nie pracował z taką ochotą. Jedenasta biła na pobliskim kościele, kiedy spostrzegł się, że w zakładzie oprócz niego nie było nikogo... „Chodźmy spać — powiedział sobie, już czas“ i zapłaciwszy, wyszedł z teką pod pachą.

Piękna noc majowa, trochę chłodna, noc bezksiężycowa ale zdobna w miliony gwiazd, pociągnęła go w ulice małego miasteczka. Wesoło gwiżdżąc wszedł w jednę, potem w drugą, potem w trzecią, przeszedł koło jakiegoś placu, zawrócił i ostatecznie nie wiedział wcale, gdzie jest. „Zabłądzić w takiej dziurze, to zabawne“. Ponieważ w puściuteńkich ulicach nie miał mu kto wskazać drogi, postanowił tedy iść możliwie najdłużej w linii prostej. „Muszę przecież spotkać kogo“.

Istotnie, w jakiejś ciasnej uliczce, spostrzegł światło w dolnych oknach małego domu. Przyspieszył kroku. Na progu siedziała stara kobieta w białym czepku, która za zbliżeniem się jego powstała zaraz i zaprosiła go do wnętrza; i zanim miał czas wytłómaczyć sobie, co się z nim dzieje, już siedział w małym niebieskim pokoiku, a na jego kolanach dwie dziewczyny w krótkich sukienkach.

Ta nieprzewidziana awanturka wydała mu się tak komiczną, że postanowił przebyć ją aż do końca. Stara w białym czepku przyniosła szampana, potem zostawiła go sam na sam z jedną z dziewcząt, pokazując im uśmiech macierzyński, który miał oznaczać: „Teraz, młodości, baw się!“...

partye straciły kilku swych najznakomitszych przedstawicieli w parlamencie; tak przepadł słynny ekonomista Leroy-Beaulieu, i były prezydent ministrów, obecnie radykał zbliżający się do socyalizmu, Goblet. Zresztą rezulat wyborów jeszcze nie pewny; według ostatnich wiadomości przeszło 57 socyalistów, 74 tzw. socyalistycznych radykałów i 104 radykałów. Te trzy stronnictwa stanowić będą niewątpliwie silną opozycyę, podczas gdy „republikański“ rząd Meline'a poprostu nawet większości republikańskiej nie ma w Izbie i będzie szedł ręka w rękę z wrogami republiki: monarchistami i klerykałami.

Prześladowanie socyalistów we Włoszech. Po rozruchach rozpoczął rząd straszne prześladowania. W Medyolanie rozpoczął swą działalność sąd wojenny. Wszystkie stowarzyszenia zostały rozwiązane, wciąż trwają masowe aresztowania. We Florencyi są więzienia tak przepełnione, że musiano urządzić filię w starej fortecy. Oskarżenie jest jednobrzmiące co do wszystkich, mianowicie o „zbrodniczy związek“, na co ustawa nakłada karę 10 do 12 lat więzienia. W Rzymie, gdzie panował zupełny spokój, rozwija policya również gorączkową działalność; aresztowała około 1000 osób. Cała redakcya socyalistycznego dziennika „Avanti“ („Naprzód“) została aresztowaną, z wyjątkiem trzech współpracowników, którym udało się uciec. Mimo to „Avanti“ wychodzi dalej; redakcyę jego objęli posłowie socyalistyczni, którzy są jeszcze na wolności; naczelnym redaktorem został zamianowany poseł tow. dr. Henryk Ferri, profesor uniwersytetu. — Sześciu posłów socyalistycznych aresztowano. Jeden z nich, Nofri, został skazany na 14 dni aresztu; na salę sądową wprowadzono go w kajdanach; mimo zeznań licznych świadków odwodowych skazał go sąd za obrazę policyi. — Poseł tow. Pescetti unika aresztowania w oryginalny sposób: Ponieważ policyi nie wolno wkroczyć do budynku parlamentu bez zezwolenia prezydenta Izby, przeto tow. Pescetti nie opuszcza parlamentu, którego wszystkie wyjścia obsadzone są czyhającą nań policyą. Sypia więc w parlamencie, dokąd mu też jedzenie przynoszą. Urządził się jak mógł najwygodniej, przyjmuje wizyty przyjaciół, czyta gazety i książki. Prezydent mimo nalegań ze strony rządu stanowczo odmówił policyi wstępu do parlamentu, a dowiedziawszy się, że Pescetti pierwszą noc spędził na niewygodnej kanapie, kazał mu zaraz na drugi dzień ustawić łóżko w jednem z biur. A to uparty prezydent! Potrzebaby tam Abrahamowicza lub Kramarza, a Pescetti z pewnością już dawno byłby pod kluczem...

Wiliam Gladstone. Dnia 10 b. m. we wsi angielskiej Hawarden zmarł jeden z największych mężów stanu naszego stulecia Wiliam Gladstone, człowiek, którego życie i działalność publiczna łączy się ściśle z najpiękniejszą kartą angielskiej historyi. Jest to jedna z tych rzadkich w życiu publicznem postaci, które, aczkolwiek należały do klas posiadających, to jednak przez swą znakomitą w każdym kierunku działalność, przez uczciwość polityczną, stałość charakteru i zrozumienie potrzeb socyalnych całego społeczeństwa zasłużyły sobie również na uznanie walczącej przeciw burżuazyi klasy robotniczej.

Nie zamknięty w ciasnym egoizmie klasowym, nie stojący na usługach jednej kliki, Wiliam Gladstone umiał odczuć potrzeby i niedostatki społeczeństwa, zrozumieć ducha postępu — dlatego też z torysa (konserwatysty) staje się liberałem, a później radykałem, przezco wprawdzie ściągnął na siebie niechęć korony i sfer rządzących, lecz za to imię swe złączył z największymi reformami angielskiemi jak np. bil irlandzki, tajne głosowanie, rozszerzenie prawa wyborczego, reforma ziemska w Irlandyi itp. i zasłużył sobie na szacunek potomności. Chcąc określić żywot Gladstona, trzebaby równocześnie spisać historyę Anglii w 19. w., gdyż od r. 1832 stoi Gladstone aż do ostatniej chwili w pierwszych szeregach najwpływowszych parlamentarzystów i polityków swego kraju.

W r. 1832 wybrany już jako 23-letni młodzieniec do izby gmin, dzięki zdolnościom i wymowie doszedł wkrótce do wysokich godności za rządów torysów.

W początkach jednak drugiej połowy stulecia Gladstone nie mogąc zgodzić się z polityką konserwatystów odrywa się od nich i przechodzi do obozu whigów (liberałów) a w r. 1860 przechyla się stanowczo na stronę reform radykalnych, w których duchu do końca życia pracował, zwalczając zacięcie konserwatywną partyę.

Dotkliwa choroba oczu zmusiła go dopiero w r. 1894 do wycofania się z życia publicznego, którego użył jedynie dla pracy w duchu postępu i sprawiedliwości.

To też razem z nim do grobu wstępuje ostatni przedstawiciel tego mieszczaństwa, które żywiło w sobie tradycye wielkiej rewolucyi francuskiej.

Rocznica Mickiewiczowska.

Kraj cały obchodzi obecnie setną rocznicę urodzin Mickiewicza. I lud roboczy polski święci ten jubileusz wielkiego ducha, który czuł i cierpiał i za miliony. Ale w tej uroczystości stoi proletaryat osobno. Głos jego uwielbienia dla wieszcza nie zlewa się harmonijnie z chórem rozbrzmiewających dokoła, więcej lub mniej szczerych uniesień. To prawda, że geniusz Mickiewicza wywarł olbrzymi wpływ na życie duchowe nie jednej tylko warstwy lub partyi, lecz całego narodu polskiego. I dlatego cały naród święci jego jubileusz, święcąc temsamem jubileusz swego własnego duchowego odrodzenia. Muszą czcić geniusz naszego wieszcza wszyscy, nawet ci, których życie i czyny są krańcowem przeciwieństwem ideałów Mickiewicza, muszą go czcić wrogowie socyalizmu, chociaż Mickiewicz był socyalistą, bo i oni się wzbogacili na skarbach jego ducha.

Ale tu właśnie ujawia się pewien fałszywy ton. Autorowi trzeciej części „Dziadów“ stawiają pomnik w Warszawie — „ugodowcy“, którzy padają na kolana przed caratem, znienawidzonym i zwalczonym przez Mickiewicza. Redaktorowi socyalistycznej „Trybuny Ludów“ stawiają w Krakowie pomnik stańczycy i „demokraci“, którzy z równą zaciekłością i coraz solidarniej zwalczają socyalizm. Na cześć nieustraszonego i bezwzględnego bojownika wolności urządzają obchody wszelkiego rodzaju reakcyoniści i klerykali... To też usiłują oni rzucić zasłonę na te strony działalności Mickiewicza, które im są nieprzyjemne, przygłuszyć te jego słowa, w których brzmi dla nich wyrok potępienia. Nie czczą oni całego Mickiewicza, lecz starają się z jego duchowej postaci wykroić korzystną dla siebie sylwetkę. Kochają oni nie Mickiewicza jako potężną indywidualność, której całe życie i wszystkie prace powinny być gwiazdą przewodnią narodu, lecz tylko Mickiewicza jako autora „Pana Tadeusza“, jako poetę, jako mistrza słowa. Na jego przekonania polityczne i społeczne, a więc na jego poglądy moralne — bo to u niego na jedno wychodzi — zamykają oczy, zatykają uszy, nie chcą ich nawet znać.

Gdy w pismach robotniczych pojawiły się artykuły o Mickiewiczu jako socyaliście, obiegła burżuazyjne dzienniki galicyjskie notatka zaprzeczająca równie gołosłownie jak stanowczo, jakoby Mickiewicz miał coś wspólnego z socyalizmem. Przyczyną tego była po części gruba nieznajomość życia i dzieł Mickiewicza, stawiająca we właściwem świetle tych jego chwalców, którzy nawet go nie znają, a po części hipokryzya. Jedynie stańczykowski „Ruch społeczny“, omawiając książkę pamiątkową o Mickiewiczu, wydaną przez partyę socyalno-demokratyczną, usiłuje argumentami zbijać twierdzenie, że Mickiewicz był socyalistą. Współpracownik „Ruchu społecznego“ p. Adam Krzyżanowski irytuje się, że odważyliśmy się przypomnieć zapatrywania polityczne i społeczne przez Mickiewicza propagowane, o których „zapomniano“. Panowie ci radziby wymazać je tak gruntownie z pamięci narodu, aby ich nikt nigdy nie znał. Gdy im jednak socyaliści zrobili tę psotę i ukazali społeczeństwu socyalistyczne poglądy Mickiewicza, usiłuje p. K. podać w wątpliwość ich autentyczność. Socyalizm — pisze ten pan — w pojmowaniu Mickiewicza był to socyalizm ówczesny, utopijny, a nie dzisiejszy. Gdyby to nawet było prawdą, to i tak nie dowodziłoby niczego. Albowiem socyalizm ówczesny, utopijny, jest ojcem socyalizmu dzisiejszego, naukowego i klasowego. Ale Mickiewicz już przed pięćdziesięciu laty miał poglądy jaśniejsze i ściślejsze od współczesnych sobie socyalistów utopijnych i wskazywał im tę drogę, którą dzisiaj idzie partya socyalno-demokratyczna, drogę politycznej i ekonomicznej walki klasowej. Jeżeli pisał, że „uczucie religijne i patryotyczne jest podstawą prawdziwego socyalizmu“, to miał zupełną racyę, bo przez religię nie rozumiał urzędowego kościoła, który sam zwalczał, lecz religię miłości, która i dziś jest religią socyalnej demokracyi; a przez patryotyzm nie rozumiał on ani szowinizmu, polegającego na nienawiści innych narodów, ani tego patryotyzmu, który godzi się z „wiernopoddańczemi uczuciami“ dla dynastyj zaborczych.

To wszystko jednak przemilcza „Ruch społeczny“ i stara się nawet podać w wątpliwość, czy Mickiewicz był autorem cytowanych w naszej broszurze artykułów z „Trybuny Ludów“. Poraz pierwszy zebrał te artykuły i pomieścił w zbiorowem wydaniu dzieł Mickiewicza syn jego Władysław, który musiał widzieć napewno, że jego ojciec jest ich autorem. W paryskiem wydaniu dzieł Mickiewicza, cytowanem przez „Ruch społeczny“, Leonard Rettel, który również dobrze o tem wiedział, że te

---

Zaledwie ich opuściła, z dolnych pokojów domu dał się słyszeć hałas.

— A to co? — zapytał.

— To Gambetta i jego przyjaciele bawią się na dole...

— Jakto, Gambetta?

— Nazywa się on właściwie Maurycy Delu, ale że jest tutaj przywódcą republikanów, nazywają go Gambettą. Dobry chłopak, często do nas przychodzi.

— A więc tutaj jest park jeleni waszego miasta?

Dziewczyna nie zrozumiała.

— Nie wiem, rzekła głupkowato.

— Czy ta stara z dołu jest gospodynią?

— Och! nie... To jest niby — jest gospodynią i nie jest... Gospodyni umarła przed trzema laty i pozostawiła małego chłopca. Wtedy to stara, która służy w tym domu od 40tu lat, wzięła na siebie wychowanie chłopca i zarząd domu... Mały chodzi do gimnazyum, Katarzyna kocha go bardzo i pozwala mu wychodzić co niedzielę.

Jakże się uśmiał.

II.

Nazajutrz młody szef gabinetu obudził się bardzo późno w swoim pokoju „pod łabędziem“. Wrócił około trzeciej w nocy, odprowadzony przez starą Katarzynę. Ubierając się na wizytę do naczelnika obwodu, przechodził w myśli szczegóły swojej nocnej awanturki i już z góry doznawał przyjemnego uczucia na myśl, że ją opowie swoim przyjaciołom po powrocie do Paryża. A nawet czuł dobrze, że nie powstrzyma się od opowiedzenia jej naczelnikowi obwodu panu Caminade, kiedy nagle pomyślał:

— A teka?!

W tej chwili pobladł; musiał usiąść, tak był wzburzony. Akta! zapomniał je... zapomniał u Katarzyny!... Akta oficyalne z pieczęciami ministerstwa, pełne listów poufnych, akta, w których jego własne nazwisko powtarzało się ze 20 razy, akta te zostawił w niebieskim saloniku, gdzie niezawodnie Gambetta ze swoją bandą położył na nie swoją pieczęć! W jednej chwili stanęły mu przed oczyma następstwa tego niepojętego i fatalnego zapomnienia: miejscowe dzienniki republikańskie podające sobie tę anegdotę, paryzkie idące im w pomoc, piosnki, karykatury, podróż prezydenta uniemożliwiona, jego własne stanowisko zachwiane i straszna śmieszność, którab y z tej powodzi atramentu i bibuły drukowanej na niego spadła!...

— Ah! krośset! — zaklął — miałem po co iść do tej dziury!... To nic, trzeba iść do Caminade'a jaknajprędzej. Te domy są przecież w ręku policyi; może uda się wyłowić moją tekę.

Udał się więc do naczelnika i z żałosną miną wyznał mu wszystko.

Caminade wzruszył głową.

— Do dyabła! — rzekł — to bardzo przykra sprawa. Więc Delu tam był?...

— Tak... Delu... Ten, którego tu nazywacie Gambettą.

— Co tu zrobić?... Dyabli wzięli!

— Czy nie sądzi pan, że ten Delu, nawet, gdyby miał tekę, nie będzie śmiał opowiedzieć tej awantury?... Bo ostatecznie będzie się musiał przyznać, że i on tam był, w tem pudle!...

— Co mu to szkodzi. On nie jest urzędnikiem ministeryalnym, jak pan, on jest handlarzem drzewa!

— A więc co począć?

— Na teraz nic... Tam we dnie zamknięte... a zresztą nie należy wzbudzać uwagi sąsiedztwa... Wieczorem poślę komisarza, aby wybadał starą...

Obaj urzędnicy zjedli śniadanie, pogrążeni w melancholijnem rozmyślaniu. Zapalali właśnie cygara, gdy służący oznajmił, że jakaś kobieta w towarzystwie małego chłopca domaga się natarczywie wejścia.

— Pozwolisz, wicehrabio? — rzekł Caminade.

— Proszę, odpowiedział przygnębiony Labrit.

Ale w tej chwili skoczył na równe nogi: wprowadzono Katarzynę Rabourdin, odświętnie ubraną; przyprowadziła z sobą malca.

— Mówcie — krzyknął gorączkowo Labrit, spieszcie się, znaleźliście tekę z papierami?

Stara wydobyła z pod chustki sznur-

artykuły wyszły z pod pióra Mickiewicza, tylko przy dwóch artykułach robi uwagę, że nie jest pewnym, czy istotnie napisał je Mickiewicz, ale że „ich jędrność, styl, zwroty, śmiałość nie dozwalają nam wątpić na chwilę, że wyszły z pod jego pióra“. Te dwa artykuły są zresztą mniejszej wagi, a reszta artykułów o niedwuznacznej tendencyi socyalistycznej pochodzi stanowczo od Mickiewicza.*) Wkońcu był on przecież naczelnym redaktorem „Trybuny Ludów“, a więc poglądy wygłaszane przez to pismo musiał aprobować. Nie potrzebujemy ani przekręcać, ani „tłómaczyć“ myśli Mickiewicza, — mówią one same za siebie. Leonard Rettel pisze o Mickiewiczu: „Gdyby żył dzisiaj, byłby może nazwany komunistą petrolerem“, a własny syn Mickiewicza, Władysław, którego świadectwo jest chyba niepodejrzane, pisze o swym ojcu, że nie wahał się on nazywać się socyalistą w owych czasach, kiedy ta nazwa ściągała na ludzi, co ją nosili, najstraszniejsze prześladowania. Że tak było w istocie, dowodzi także fakt, że rząd francuski wydawnictwo „Trybuny Ludów“ zawiesił.

Jeszcze gorzej niż „Ruch społeczny“ obszedł się z pamięcią Adama „Czas“, który wśród powodzi mdłych frazesów usiłuje z Mickiewicza zrobić konserwatystę, przemycającego pod strzechy „tradycyę szlachecką“. Ten dziwaczny wniosek wyprowadza „Czas“ stąd, że Mickiewicz wyraził życzenie, aby „Pan Tadeusz“, odzwierciadlający świat szlachecki dawnej Polski, „zbłądził pod strzechy“. Robić z Mickiewicza szerzyciela idei szlacheckiej, a z takiego arcydzieła jak „Pan Tadeusz“ broszurę agitacyjną dla celów reakcyjnych — to już szczyt złej woli, liczącej na bezmyślność czytelników. Mickiewicz, gdyby dzisiaj ożył, na widok takich chwalców swoich w grób by się położył. Któż nie wie, że Mickiewicz uznawał prawo historyczne, sformułowane przez Szyllera:

„Was unsterblich im Gesang soll leben,
„Muss im Leben untergehn!“
„Co ma ożyć w pieśni, musi zginąć w rzeczywistości!“

Mickiewicz, który sam to zdanie zacytował w przedmowie do „Konrada Wallenroda“, widział upadek dawnej szlachetczyzny, widział, jak na jej ruinach powstawał świat nowy, i dlatego w epopei odtworzył to dawne pokolenie, które **musiało** zginąć w rzeczywistości. Zdawał on sobie jasno sprawę z tego, że ujęte przezeń w księgi społeczeństwo już nie ożyje, wiedział, że opisuje „ostatni“ zajazd na Litwie, „ostatnich“ przedstawicieli szlacheckiej Polski. Przeszłość ujął w pieśni, aby rozpocząć pracę nad zbudowaniem gmachu nowej, odmiennej przyszłości. Blaskami zachodzącego słońca ozłocił ostatnie chwile szlacheckiej Polski, aby następnie rozniecić różową jutrznię Polski ludowej.

Dlatego ukochał go proletaryat polski i, składając mu hołd, nie zataja przed sobą wcale ani jednej myśli, ani jednego czynu Mickiewicza. I tem wyróżniają się socyaliści z pośród hałaśliwej reszty jego czcicieli. Jedyni socyaliści rozumieją całość duchową nieśmiertelnego Adama i czczą w nim zarówno poetę i myśliciela jak człowieka i polityka.

Proletaryat polski święci więc obchodzoną obecnie uroczyście w całym kraju setną rocznicę urodzin Mickiewicza *). A obchodzimy ją z niekłamanym pietyzmem i z czystem sumieniem. Ideę Mickiewicza przejęliśmy w spadku i rozwinęliśmy ją zgodnie z duchem czasu po jego myśli. Myśmy uobywateli masy pracującego ludu, myśmy w nich zbudzili ducha, myśmy je ożywili, ideą wolności i braterstwa. „Myśl, że jesteśmy rycerzami wolności powszechnej, — pisał Mickiewicz w „Pielgrzymie Polskim“ — podniosłaby każdego w jego własnych oczach, a potrzeba wielkiej myśli dla obudzenia ducha wielkich poświęceń“. Ta wielka myśl znalazła wcielenie w socyalnej demokracyi.

*) Porównaj: „La politique du XIX siécle“, oraz listy A. Mickiewicza do Godebskiego i do Konstancyi Wodpol, listy Quineta i Micheleta w „korespondencyi Mickiewicza“ 1885, tom IV. i biografię Adama Mickiewicza przez jego syna.

*) Rocznica ta przypada właściwie na miesiąc grudzień, w którym Mickiewicz ujrzał światło dzienne, została jednak przełożona na maj i czerwiec przez tych „patryotów“, którzy w grudniu chcą obchodzić jubileusz cesarski...

Sprawa ks. Stojałowskiego.

Wykrycie stosunków ks. Stojałowskiego z rosyjskimi żandarmami spotkało się z zupełną obojętnością w „patryotycznej“ prasie galicyjskiej, która objawiała chętkę uśpienia całej sprawy i puszczenia jej w niepamięć. Ks. Stojałowski był dla wrogów socyalnej demokracyi cennym nabytkiem, to też żal im było tak rychło go utracić. Za cenę zwalczania socyalizmu gotowi byli darować mu konszachty z rosyjskimi żandarmami i potworną zdradę narodową. Ale trzy pisma nie pozwoliły sprawy ubić i kołatały dopóty do opinii publicznej i dopóty przypierały Stojałowskiego do muru, dopóki sprawa nie została w najważniejszej, zasadniczej części wyświetloną. Pisma te: „Naprzód“, „Przegląd Wszechpolski“ i „Kuryer Lwowski“ wytoczyły przeciwko Stojałowskiemu cały szereg zarzutów, tyczących się głoszonej przezeń polityki moskalofilskiej, jego stosunków z ambasadą rosyjską i jego korespondencyj do „Warszawskiego Dniewnika“. Stojałowski nie mógł już dłużej milczeć i był zmuszony oświadczyć się publicznie co do tych zarzutów. Uczynił to w sprostowaniu wysłanem do „Kuryera Lwowskiego“ i w oświadczeniu opublikowanem w „Głosie Narodu“. W pierwszem przyznał się wprost 1) do tego, że pisał do „Warszawskiego Dniewnika“ korespondencye propagujące wśród Polaków „rosyjską ideę państwową“, 2) do tego, że politykę ugodową uznaje za „jedyną rozumną narodową politykę“. Reszty faktów, a mianowicie, że miał paszport rosyjski, że się był umówił z przewodnikiem o przejście przez granicę rosyjską, że bywał tajnie w ambasadzie rosyjskiej we Wiedniu, — tych wszystkich faktów mimo usiłowań zaprzeczyć nie zdołał. Bledną one jednak całkowicie wobec jego przyznania się do dwóch pierwszych.

Tem Stojałowski sam na siebie wydał wyrok, a uzasadnił go obszernie w „Głosie Narodu“. Usiłuje on na wstępie obniżyć znaczenie całej sprawy twierdzeniem, że tu w Galicyi należy to, co on myśli lub pisze o stosunku Polaków do Rosyi, „do zakresu jego **osobistych** poglądów, za które przed nikim **nie ma obowiązku odpowiadać**“. To jest zdanie ks. Stojałowskiego, ale my na takie traktowanie sprawy **nie pozwolimy**. Nie jesteśmy Galicyanami, lecz Polakami i sprawy naszych rodaków z za kordonu obchodzą nas taksamo, jak nasze własne. Nie idzie tu zresztą tylko o „poglądy“ ks. Stojałowskiego, lecz o całkiem konkretne fakty z jego działalności, które nie mogą się uchylić z pod publicznej kontroli. Że ks. Stojałowski jest „politykiem bez serca“, o tem każdy dawno już wie, notujemy tu jednak jego własne przyznanie się do tego.

Powołuje się ks. Stojałowski na list papieża Leona XIII do biskupów polskich pod zaborem rosyjskim, w którym papież powiada, że „ci, którzy są poddanymi, muszą zawsze cześć oddawać i wiernymi być władcom“, i nakazuje klerowi polskiemu „uległość“ i „szacunek“ dla rządu rosyjskiego. Ks. Stojałowski twierdzi, że „w świetle tych nauk papieża polityka ugodowa **musi być rozkazem**, a **conajmniej drogowskazem**“, a zatem, że robiąc konszachty z żandarmami rosyjskimi słuchał tylko papieża. Pomijając już fakt, że kosmopolityczna polityka Rzymu, stale sprzyjająca silniejszym, nie może tu dla nas Polaków być miarodajną, to wogóle powoływanie się ks. Stojałowskiego na papieża w tym wypadku jest chybionym wykrętem. Odkąd to stał się Stojałowski nagle tak posłusznym, że słucha nawet tych rozkazów papieża, które wcale nie do niego były wystosowane? List papieża odnosi się **wyłącznie** do biskupów **polskich pod zaborem rosyjskim**, których wyjątkowo trudne położenie w nim uwzględnione zostało, nie obowiązuje zaś wcale księży w Galicyi, gdzie car nie jest „władcą“ w tym liście wspomnianym. Bezczelnością bezprzykładną jest zdanie Stojałowskiego, że jego „polityka ugodowa nie jest czem innem, jak tylko praktycznem wykonaniem wskazówek we wspomnianym liście Leona XIII zawartych“. Ks. Stojałowski stale nazywa swe konszachty z żandarmami rosyjskimi i swe nikczemne korespondencye w „Warszawskim Dniewniku“ „polityką ugodową“. Jest przecież różnica miądzy „polityką ugodową“, a **służbą żandarmską**!

Nawet „polityka ugodowa“ uprawiana przez Polaka z Galicyi jest haniebną zdradą narodową, a cóż dopiero **zwalczanie** naszej sprawy narodowej w spółce z żandarmami moskiewskimi i ich organem!

Prasa galicyjska, zmuszona do jasnego wypowiedzenia się, zajęła wreszcie to stanowisko, ale tak oględnie, tak pobłażliwie, jakgdyby jeszcze nie chciała stanowczo zerwać z Stojałowskim. „Głos Narodu“ nawet widocznie mu sprzyja. Oddaje mu do dyspozycyi całe kolumny pisma i ogranicza się do wyrażenia „przykrego zdziwienia“; oświadcza, że stoi na odmiennem „stanowisku“ i że pragnie, „aby ta sprawa przedmiotowo, trzeźwo, a wyczerpująco roztrząśniętą została“. Nie można wymagać od Ehrenberga, żeby zrozumiał, że kradzież, rozbój, oszustwo, **zdrada**, to nie żadne „stanowisko“, lecz łajdactwo, że z padlecem nie ma dyskusyi. Ehrenberg to przecież godny kolega Stojałowskiego.

Tę pobłażliwość powszechną dla Stojałowskiego, to ciągłe bratanie się z nim i jego narzędziami chłoszcze „Przegląd Wszechpolski“ w następujący sposób:

Mam na myśli zwiększający się **zastęp karyerowiczów, dawnych demokratów i radykałów, postępowców i krzykliwych patryotów, którzy spieszą pod komendę chrześcijańską jawnego dziś moskalofilla i ugodowca**. Taki np. p. **Lewicki** bardzo niedawno **wygłasza patryotyczną mowę w „Sokole“ krakowskim**, wygłasza ją niemal w tej chwili, gdy protektor jego przyznaje się otwarcie do współpracownictwa w „Warszawskim Dniewniku“ i oświadcza, że uznaje politykę ugodową za jedyną rozumną i zbawienną. Taki p. **Danielak, okłamujący swoich przyjaciół warszawskich, że jest gorącym patryotą, toleruje najspokojniej w pisemkach, które są organem stronnictwa i które przez czas jakiś sam podpisuje, panegiryki dla cara i rządu rosyjskiego**. Ci ludzie nie próbują nawet usprawiedliwić swego przeniewierzenia się przekonaniom, które głośno wyznawali, do których teraz nawet czasem się przyznają i nie mają odwagi jawnie oświadczyć, że przekonania zmienili. Bo istotnie — wcale ich nie zmienili, oni nigdy ich nie mieli. Natomiast **cynicznie lub milczeniem stwierdzają, że złączyli się z ks. Stojałowskim dla zyskania mandatów, dla zapewnienia sobie stanowiska**, pochlebiającego ich próżności.

kiem obwiązaną paczkę i rzekła naturalnym tonem:

— Tak, proszę pana, oto ona.

Labrit rzucił się na paczkę, otworzył ją, przerzucił gorączkowo papiery: wszystk było we wzorowym porządku od pierwszych cyrkularzy ministra, aż do list świeżo wygotowanych.

— Oh! — zawołała stara dumnie, — może pan być spokojny, nic nie wyjęto... Dom nasz jest pewny... Jak tylko znaleziono paczkę pod kanapą, kiedy sprzątano niebieski salonik, w tej chwili włożyłam chustkę i poszłam do pana do hotelu z małym, który ma dzisiaj wolne... Posłali mnie tutaj... Ma się rozumieć, nie powiedziałam nic, coby mogło pana narazić na nieprzyjemności... Człek wie, co się należy gościowi, który pił szampana.

— A „Gambetta“? — badał gorączkowo młody człowiek. — „Gambetta“ nic nie widział?

— Oh! nie... on był w różowym saloniku!

Wicehrabia upojony radością pochwycił Caminade'a za ręce i zaczął z nim skakać naokoło stołu, nie bacząc na jego zdumienie i wrzeszcząc:

— On był w różowym saloniku! on był w różowym saloniku!

Potem, zwracając się do przestraszonej staruszki, zapytał:

— A wy, czego wy sobie życzycie za trud?... Trafikę może?... Może krzesło w akademii? Co? No, mówcie do stu piorunów!

— Mój Boże, proszę pana — rzekła Katarzyna — jeżeli pan należy do rządu, to mógłby mi pan wyrobić miejsce w bursie dla malca...

— Macie je! macie... całą bursę!... z kompletną wyprawą... i czekoladą na śniadanie... Ale wy, wy? Wam nic nie trzeba?

— Nic, proszę pana... Dobrze mi tam, gdzie jestem... A zresztą co pan chce dać takiej starej jak ja kobiecie, która ma 63 lat?

— Co tam stara! Ależ wy jesteście doskonałą kobietą! Wychowujecie syna waszej nieboszczki gospodyni, z poświęceniem... nadzwyczajnem...

Nagle radosna myśl zabłysła mu. Pochwycił arkusz papieru z teki, nabazgrał kilka wierszy. Caminade patrzył na niego zdumiony.

— Trzymajcie — rzekł, podając jej papier — czytajcie!

— Proszę pana... ja nie umiem czytać...

— No, to ty, mały, przeczytaj jej to, ruszaj się!

Malec wziął papier i powoli, cienkim głosem, zająkując się jak w szkole, przeczytał:

„Rzeczpospolita francuska. Ministerstwo handlu. Medal srebrny pozłacany dla Katarzyny Rabourdin, 63 lat. Wychowuje ona dziecko swych zmarłych chlebodawców z poświęceniem podziwu godnem. Czterdzieści lat służy w tym samym domu.“

Kobieta, wychodząca za człowieka, którego nie kocha, jedynie z pobudek materyalnych, niewątpliwie sprzedaje się, ale z punktu widzenia moralności społecznej jej czyn nie może być potępionym. Natomiast bezwzględnie potępić trzeba taką, która handluje sobą publicznie, dla zysku, lub z braku zmysłu moralnego. Pierwsza nikogo nie gorszy, druga znieprawia swoje otoczenie wystawianiem na widok publiczny swego nierządu. Można, zwłaszcza w Galicyi, zostać z demokraty stańczykiem nawet z przekonania, lub można przynajmniej tę zmianę, jeżeli nie wytłómaczyć, to upozorować pobudkami, nie obrażającemi jawnie moralności publicznej. Ale nie można jednocześnie brać udziału w demonsracyach patryotycznych i uznawać polityki ugodowej za jedynie rozumną i zbawienną, nie można wygłaszać mówek zapalnych na uroczystościach narodowych i słuchać pokornie komendy politycznej człowieka, pisującego korespondencye do urzędowej gazety rosyjskiej, oskarżonego na podstawie poważnych danych o stosunki z żandarmami rosyjskimi i głośno przyznającego się do moskalofilstwa i carosławia.

A raczej można, bo pp. Danielak, Lewicki i inni „bezimienni“ stojałowczycy tej sztuki dokazali. Ale ta sztuka nazywa się „prostytucyą polityczną“...

Zostawilibyśmy tych panów w spokoju, gdyby ta zgnilizna moralna, którą wytwarzają, nie zakażała atmosfery publicznej. Ta atmosfera jest już rozmaitymi miazmatami tak zanieczyszczoną, że coraz trudniej oddychać w niej człowiekowi uczciwemu, że prawość charakteru, odwaga cywilna, wierność zasadom i wogóle wszelkie cnoty obywatelskie więdną w niej i usychają. Oto np. ci panowie, którzy swoją rozpustą polityczną popisują się cynicznie, są członkami różnych instytucyj narodowych, biorą udział czynny w obchodach patryotycznych i nie znalazł się nikt, ktoby odważył się im powiedzieć, że niema dla nich miejsca w gronie porządnych ludzi, którzy mogą mieć rozmaite przekonania i zasady, ale jakieś mieć muszą. Bo jak w towarzystwie przyzwoitem niema miejsca dla ludzi, nie zachowujących przepisów moralności i obyczajności prywatnej, tak w działalności publicznej społeczeństwa ucywilizowanego nie powinno być miejsca dla ludzi przeniewierzających się elementarnym wymaganiom moralności i obyczajności zbiorowej. Pobłażliwość im okazywana — to już nie tolerancya, to tolerowanie prostytucyi jawnej.

Tolerancyi prawdziwej niema u nas wcale. Panu Kozakiewiczowi np., człowiekowi szczeremu i niewątpliwie uczciwemu, nie pozwolonoby przemawiać w „Sokole“, lub przerywanoby mu ciągle, ale p. Danielakowi pozwolą bodaj zabrać głos na uroczystości odsłonięcia pomnika Mickiewicza i ściskać będą jego rękę ludzie porządni, zacni obywatele, prawi patryoci... Doprawdy, trudno powiedzieć, kto więcej zasługuje na pogardę, czy nędznicy, pozbawieni zmysłu moralnego, czy tacy pobłażliwi dla wszelkiej niecnoty „zacni obywatele“.

Do tej trafnej charakterystyki nie mamy nic do dodania. Zwrócimy tylko jeszcze uwagę na doniesienie pism lwowskich, że ks. Stojałowski redakcyi „Dziennika Polskiego“ (który pierwszy wystąpił przeciwko niemu z zarzutami) procesu nie wytoczył, a „Przegląd Wszechpolski“ zaskarżył nie za podniesione przez to pismo ciężkie zarzuty, lecz tylko za nazwę „mesyasz galicyjski“. Tą nazwą uczuł się ks. Stojałowski bardziej obrażonym niż zarzutami o konszachty z Brokiem! Widać ks. Stojałowski nie ufa lwowskim przysięgłym i dlatego zaskarżył tylko „Naprzód“, spuszczając się na pobłażliwość krakowskich przysięgłych wobec ludzkiej podłości i nienawiść ich do socyalnej demokracyi. Spodziewamy się, że te nadzieje ks. Stojałowskiego zawiodą. Jednakowoż tego rodzaju wymykanie się jest tem jaskrawszym dowodem nikczemności, kryjącej się przed światłem dziennem.

Ze stowarzyszeń i zgromadzeń.

Kraków. W niedzielę 22 bm. odbyło się walne zgromadzenie stowarzyszenia zawodowego robotników ceglarskich, na którem odbyły się wybory uzupełniające do zarządu. Przewodniczącym został obrany tow. Aleksander Dutkiewicz, do wydziału weszli tow. Paweł Kosiński, Paweł Warzecha i Jan Wójcik, do komisyi kontrolującej tow. Tomasz Burzyński, do sądu polubownego tow. Walenty Grzywacz.

KRONIKA.

Obchód Mickiewiczowski. We Lwowie wzięła partya socyalno-demokratyczna udział w obchodzie Mickiewiczowskim, urządzonym w niedzielę 22 b. m. W uroczystym pochodzie partya socyalno-demokratyczna stanowiła imponującą grupę i szła ze sztandarem na czele. Na ogólnym obchodzie przemawiał imieniem robotników tow. Hudec, oddając hołd Mickiewiczowi, który widział „w szczęściu wszystkiego wszystkich cele“. W Domu Robotniczym odbyła się potem osobna uroczystość na cześć Mickiewicza. Dom Robotniczy był wspaniale udekorowany, a wieczorem iluminowany.

W Przemyślu odbyło się w niedzielę 22 bm. uroczyste zgromadzenie ludowe, na którem poseł tow. Kozakiewicz mówił o Mickiewiczu jako socyaliście.

W Jarosławiu wzięła partya socyalno-demokratyczna udział w obchodzie 22 b. m. z czerwonymi odznakami na piersiach. Socyaliści znacznie przewyższali liczbą burżuazyę, biorącą udział w uroczystości.

Prześladowania polityczne. Dnia 18 bm. odbyła się w sądzie powiatowym w Jaworznie rozprawa przeciwko tow. Englischowi, Czakiemu, Sysce i jeszcze trzem uczestnikom zgromadzenia poufnego z dnia 17 stycznia 1897 r. o przekroczenie § 2 ust. o zgrom. Jedynym obciążającym świadkiem był żandarm, który zeznał, że mu opowiadano nazajutrz, jakoby nie wszyscy uczestnicy zgromadzenia mieli zaproszenia. Sąd uwolnił wszystkich oskarżonych.

Ehrenbergowi zaprzeczyć trudno, że w podłości doprowadził do perfekcyi nielada. Jest to szubrawiec z bożej łaski, szubrawiec, który w galeryi dziennikarzy-łajdaków, w galeryi gadzin ludzkich zajmie równie wybitne miejsce, jakie np. Kuba-rozpruwacz w dziedzinie nałogowych morderców, albo Kieszkowski w dziedzinie eleganckich złodziei. Stoi on dzisiaj na piedestale łotrowstwa. A co to za niewyczerpana u tej kanalii pomysłowość!... Po każdym paroksyźmie wścieklizny, z jaką ten niepospolity opryszek rzucać się umie na wszystko, co czyste i święte, a co jego nikczemną duszę istnieniem swojem, rozwojem i nieuniknionym w końcu tryumfem utrzymuje w bezprzestannej trwodze i pasyi — zdaje się, że tym razem wyczerpał już resztę jadu, wypluł z siebie ostatki podłości, że to był śpiew łabędzi patentowanego szczekacza. Gdzie tam! Ludzie uczciwi nie są w stanie zgruntować tej otchłani błota. Ehrenberg nie wyczerpuje się wcale, przeciwnie, nabiera rutyny, niedawny łotrzyk przestał być łotrem jakich wielu i jest już dzisiaj nikczemnikiem wyjątkowym, kwalifikującym się, aby jego portret figurował w „Interessantes Blatt“ z podpisem „Wer ist das?“ a popiersie w muzeach figur woskowych obok mordercy Schenka i tym podobnych znakomitości.

Ktoby nas posądzał o przesadę, niechaj przeczyta „Oświadczenie“ w czwartkowym „Głosie Narodu“.

Od dwóch lat Ehrenberg, robiący na tem dobry interes, napada w najniegodziwszy sposób partyę naszą i poszczególnych jej członków. Czyni to jednak tak przebiegle, tak chytrze ukrywa swe oszczerstwa i potwarze w nieuchwytnych domyślnikach, że niepodobna go złapać na czemś konkretnem, nadającem się przed kratki sądowe. Wreszcie popełnia tę niezręczność. Podczas strejku piekarskiego pomówił tow. Daszyńskiego o interesowne popieranie żydów. Tow. Daszyński wytacza mu proces. Ehrenberg wypiera się autorstwa napaści, a nawet czytania jej przed drukiem, a to w tym celu, aby zamiast za oszczerstwo, odpowiadać tylko za zwykły niedozór. Mimo tego jednak z miną zucha głosi, że przeprowadzi dowód prawdy. Tymczasem w przeddzień rozprawy, która miała być tryumfem oskarżonego, a klęską skarżącego, w której Ehrenberg miał wykazać, że paszkwil w „Głosie Narodu“ zrobił tow. Daszyńskiemu słuszne zarzuty — Ehrenberg zwija zupełnie chorągiewkę. Przekonany z góry, że zasądzonym być musi, łże najbezczelniej i własne matactwo zwala na tow. Daszyńskiego, mimo możności przeprowadzenia dowodu prawdy także i w sądzie powiatowym. Jak tchórz podły i czujący swą winę, nie zjawia się w sądzie, a zaocznie skazany na grzywnę 30 złr. bezczelną fanfaronadą stara się zasłonić przed swymi bodaj czytelnikami zupełną porażkę.

Postępowanie to jest jednem z arcydzieł bezczelności Ehrenberga, lecz nie jedynem. Gdyby wysadzić osobną komisyę z łona najnikczemniejszych kryminalistów u św. Michała i w Wiśniczu i kazać redagować referaty, będące typem literatury zbrodniarzy, nie zdobyliby się oni zbiorowo z pewnością na tyle, ile Ehrenberg sam jeden w tym kierunku zrobić potrafi. Czelność, perfidya, humor z najwyższego schodka szubienicy, obok patosu przepitego i gnijącego już wszetecznika, pozującego na kapłaństwo, splatają się w majstersztyki pewnej siebie, cynicznej podłości. Widzi się przed sobą tak trafnie zacytowaną przez prof. Baudouina de Courtenay „tryumfującą świnię“ na zgniłem tle pewnej części naszego społeczeństwa, tej mianowicie, która wydawszy i popierając takiego Ehrenberga sama sobie rychły koniec gotuje. W miarę bowiem, jak łotrowski szał Ehrenberga-„publicysty“, „patryoty“, „chrześcijanina“ wzmaga się — szubrawiec z szkodliwego staje się użytecznym. Użytecznym mimowoli, jak zaraza, ucząca ludzi dbać o czystość. Widok rozzuchwalonego do ostateczności szubrawca, który w najbezczelniejszy sposób robi publicznie z czarnego białe, szkaluje ludzi, obdarzonych zasłużoną ufnością ogółu — widok ten musi tylko uszlachetniająco działać na słabych i chwiejnych, żywioły zaś pokrewne takiemu Ehrenbergowi do reszty upadla i przyspiesza ich kres.

Na usługach jezuickich szalbierzy stoi zarząd kasy oszczędności w Nowym Sączu. Na jednem z posiedzeń tegoż zarządu przeznaczono pewną kwotę z dochodów kasy na „cele dobroczynne“ między temi zaś 50 złr. na jezuickie stowarzyszenie „Przyjaźń“.

Gdy jeden z członków wydziału zwrócił uwagę na to, że zarząd kasy niema prawa dawać pieniędzy, złożonych przez lud do kasy, na wrogą ludowi agitacyę jezuicką, że lepiej pieniądze owe dać na „Towarzystwo szkoły ludowej“ nie został popartym przez żadnego z członków.

Panowie ci, szafujący tak hojnie cudzemi pieniądzmi na cele „dobroczynne“, powinni o tem pamiętać, że jeżeli chcą użyczać protekcyi jezuickim szalbierzom, to mogą to uczynić, ale z własnych funduszów, gdyż przeznaczanie cudzych pieniędzy na instytucye tak wątpliwej wartości, jak „Przyjaźnie“, które z pewnością nie zyskałyby zgody ze strony członków kasy oszcz., staje się jaskrawem i samowolnem nadużyciem zaufania.

Urzędowe kłamstwo. Dyrektor lwowskiej policyi p. Krzaczkowski, chcąc zatuszować gwałty policyi przemyskiej, dokonywane na robotnikach, wystosował do bratniego organu „Robotnika“ aż dwa sprostowania, w których „na podstawie bezstronnie przeprowadzonego urzędowego śledztwa“ wszelkie pogłoski o gwałtach policyi przemyskiej nazywa kłamstwem.

Jak „bezstronnemi“ były śledztwa, a prawdomównym jest p. Krzaczkowski świadczy o tem fakt, że na rozprawie dnia 17 bm. w przemyskim pow. sądzie karnym przeprowadzonej przeciw tow. Olejarczykowi i Regerowi o nieprawdziwe oskarżenie organów rządowych, sędzia Niedźwiecki uwolnił obwinionych na podstawie zeznań świadków dowodowych.

Stara metoda urzędowych kłamstw, któremi zwykle zasłania się nadszargana powaga władzy, nie zawsze okazuje się praktyczną.

Rozruchy głodowe w Przemyślu. Drożyzna tegoroczna i głód, który wskutek tego zawitał do mieszkań ubogich wywołuje już i w Galicyi rozruchy. Po Lwowie przyszła teraz kolej na Przemyśl. We wtorek napadły tłumy na stragany i rozchwytały pieczywo; w pół godziny później przewrócono wóz z chlebem i zabrano kilkadziesiąt bochenków.

Według doniesienia pism burmistrz Dworski i starosta Lanikiewicz wyasygnowali po 300 złr. i odwołano aresztantów od prac w polu. Czy takie środeczki wystarczą, by głodnych nasycić, w to wątpią sami „hojni“ dobrodzieje. Nędza bezgraniczna spotęgowana obecną niebywałą drożyzną objawia się w sporadycznych wybuchach i to rzadko. Ale właśnie dlatego powinny sfery miarodajne z góry już planową przedsiębrać w tym kierunku akcyę. Przykład gminy tarnopolskiej, która założyła dwie piekarnie, gdzie się piecze tanie pieczywo dla ludu, powinien znaleść naśladowców.

Edward Bellamy. Dnia 23 bm. w Ameryce w stanie Massatchusetts, zmarł głośny pisarz socyalistyczny, Edward Bellamy, znany ogólnie z swego dzieła opisującego w poetyczny sposób przyszły ustrój socyalistyczny. Urodzony w r. 1850, studyował w Nowym Jorku i Niemczech prawo, poczem poświęcił się dziennikarstwu i literaturze, łącząc z praktyczną agitatorską działalnością działalność literacką. — Już przed r. 1888 kilka pomniejszych literackich utworów treści socyalistycznej, w 1888 r. zaś wydał największe swe dzieło, które przetłumaczone na wszystkie prawie języki, zyskało rozgłos w całym cywilizowanym świecie i ze strony wrogów socyalizmu wywołało cały szereg polemicznych odpowiedzi. Dzieło to, przetłumaczone na język polski pt. „Z przeszłości“ przenosi nas w epokę o zupełnym kollektywistycznym ustroju, — w którym niema już śladu z własności prywatnej — i z owej oddalonej epoki przez usta wprowadzonych w powieści osób, krytykuje obecny ustrój kapitalistyczny.

Oddawał się przytem Bellamy życiu politycznemu, wydawał w Bostonie tygodnik socyalistyczny „Nowy Naród“, — a założony przez niego „Klub narodowy“ przyczynił się niemało do rozszerzenia zasad socyalistycznych. W pełni sił, w chwili energicznej pracy wyrwała go smierć z łona partyi robotniczej; socyalni demokraci tracą w nim niestrudzonego bojownika swych haseł!

Zapiski naukowe, literackie i artystyczne.

= **Z teatru.** Srodze się zawiedli ci, co uwierzywszy reklamie, poszli w sobotę do teatru w nadziei ujrzenia rozgłośnej sztuki „socyalnej“, — pokazano im bowiem tylko bez osobliwego talentu napisaną bombę, w której temat społeczny służy autorowi za zwykły wabik w celu ściągnięcia łakomego aktualności audytoryum. Na sztukę poważną brak Lwiej uczcie“ myślowej głębi, na popularną zaś zapału. Jako artystyczny obraz życia jest bladą, jako obraz społecznych starć niedołężną, wbrew intencyom autora doprowadza do konkluzyj, które zwracają się przeciwko niemu samemu i jego faworytalnym tezom... Za tło sztuki służy ustronna wioska francuska, w którą wkracza wielki przemysł, stwarzając armię ludności roboczej i nieuniknioną kwestyę społeczną. Na tle tem spotykają się z sobą, trzy żywioły: fabrykant-indywidualista, szermierz bezwzględnej walki o byt jednostek inteligentnych i energicznych — robotnicy-socyaliści — i agitacya chrześcijańsko-socyalna. Tę ostatnią obok ograniczonego i niedołężnego księdza reprezentuje prowadzący ją bohater sztuki hrabicz-milioner, bawiący się w przyjaciela ludu, chorobliwej pobudliwości połączenie marzyciela, dekadenta, blagiera, samoluba i głupca.

Tłukąc się przez pięć aktów po scenie, wywołuje on swem postępowaniem na przemian śmiech, niesmak i wzgardę, a w końcu nagłem odstępstwem, które mocno brudem trąci, dyskredytuje siebie, chrześcijańsko-społecznych i samego autora, mającego czelność w kulminacyjnym punkcie sztuki, w bajce o lwie i szakalach szukać dla ludzkości wzoru w stosunkach, panujących między dzikiemi zwierzętami. W ten sposób podjęte z początkiem sztuki hasło: „Kościół to jedyny nasz zbawca“ bankrutuje w osobie bohatera, zrywającego zarówno z hasłem tem, jak i z ukochanymi aż dotąd po „chrześcijańsku“ robotnikami, aby stać się, czem był zresztą od początku sztuki t. j. lwem „ryczącym“ i aby jak wszelka dziczyzna niebezpieczna i szkodliwa skończyć od kuli. O ile postać samego nawet bohatera wypadła marnie, o tyle gorzej jeszcze wyszły inne figury. Przywódca robotników jest wprost fałszywie, tendencyjnie i złośliwie skreślony, to istny skrytobójca i podpalacz bez żadnego umotywowania, a sposób rozpoczęcia przez niego zmowy byłby jej zdławieniem w samym zarodku. Tłum robotniczy, nurtujące go uczucia i myśli zostawione są zupełnie domysłowi widzów, jakby ich odsyłano do gazet, w których się o tem dosyć naczytają. Jakże tu daleko do „Wroga ludu“, do „Tkaczy“!... Sztuka, będąca w całości zlepkiem grubych efektów i tyrad na tle senzacyjnej bajki pomimo usiłowanej staranności wystawioną została słabo. Aktorzy nie byli w stanie nic dobrego zrobić z złych ról, tembardziej, że niektóre powierzono w zupełnie niewłaściwe ręce.

KOMUNIKATY.

Stow. „Brüderlichkeit“, Piekarska 14. W piątek 27 bm. o godz. 3 popoł. **odczyt.**

Stow. pomocników handlowych. W sobotę d. 28 bm. w „ogrodzie weneckim“ w Dębnikach (za mostem zwierzynieckim) **festyn ludowy** z nader urozmaiconym programem. Początek o godz. 2 popoł. Wstęp 20 ct.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **Franciszek Sułczewski.** Z Drukarni Narodowej F. K. Pobudkiewicza w Krakowie.